Rok VI Rzeszów, 2. IV. 1955 r. Nr 13 (259)

Nowiny Tygodnia

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich"

Dziś w numerze:

W. BOROWSKI — Lelewel nam bliski

TADEUSZ STANISZ — „Zawieja" Koguta, czyli wieś dębicka w czasie okupacji

WŁADYSŁAW BŁACHUT — Miasto sławnej przeszłości

Wspomnienia nauczycieli

Poniżej podajemy fragmenty z przygotowywanej do druku broszury pt. „Oświata i nauczycielstwo w Polsce przedwrześniowej", której autorem jest Augustyn Ciulik. W broszurze tej autor dużo miejsca poświęca życiu nauczycieli rejonu rzeszowskiego.

Oto co na temat pracy w Polsce sanacyjnej mówi dyrektor 11-letniej Szkoły Ogólnokształcącej w Sanoku — Józef Pohorski.

„W roku 1931 ukończyłem filozofię we Lwowie. Jako nieproduktywny inteligent, pełen sił i zapału do nauki, jednak nie mający żadnej protekcji, miałem ogromne trudności z otrzymaniem posady w szkolnictwie średnim czy też podstawowym. Powodem tego był z jednej strony brak wolnych miejsc, a z drugiej zła opinia za solidaryzowanie się z wolnościowym ruchem robotniczym. Rok pozostawałem bez pracy, udzielając lekcji prywatnych uczniom słabszym w nauce, a dobrze sytuowanym materialnie. Następnie rok uczyłem w prywatnej szkole handlowej, gdzie płatny byłem ryczałtowo w wysokości 80 zł miesięcznie, lecz i tu zostałem zwolniony z pracy.

W poszukiwaniu jakiegoś zajęcia wyjechałem do Łodzi gdyż tam obiecywano mi posadę w prywatnym gimnazjum. Po przyjeździe na miejsce zorientowałem się, że po prostu padłem ofiarą bandy oszustów, która ściągała bezrobotnych nauczycieli z całej Polski żądając od nich po 500 zł kaucji na rzekome zakupienie sprzętu szkolnego i otrzymanie zezwolenia w Warszawie na otwarcie szkoły prywatnej.

Szkoła ta, która miała powstać dopiero w przyszłości nosiła szumną nazwę „Gimnazjum prywatne zrzeszenia profesorów łódzkich". Zawiedziony w swych nadziejach i bez pieniędzy na drogę do Sanoka otrzymałem w biurze dla bezrobotnych bezpłatny bilet powrotny.

Tu w Łodzi po raz pierwszy zobaczyłem prawdziwą nędzę bezrobocia. Widziałem setki bezrobotnych, którzy stali w ogonku ze mną pod biurem w nadziei uzyskania pracy, lub otrzymania zasiłku. Widziałem jak bezrobotnych brutalnie wyrzucano za drzwi, kiedy żądali pracy i chleba dla swych dzieci. Tu dopiero zrozumiałem czym jest wyzysk człowieka.

Widząc, że nie dostanę nigdzie posady, wyjechałem na Polesie i tu otrzymałem pracę w szkole powszechnej w miejscowości Małoryta koło Brześcia nad Bugiem. Pomimo że miałem uniwersyteckie wykształcenie, przyznano mi najniższą grupę tj. XI, a jako nauczyciel kontraktowy nie dostałem poborów w czasie wakacji.

Po dwóch latach pracy w 7-klasowej szkole w Małorycie — inspektor Łastowiecki przeniósł mnie do jednoklasówki we wsi Charsy (gm. Demaczewo, koło Włodawy). Jadąc z Brześcia do Chars, z końcem sierpnia miałem tylko 5 zł w kieszeni. Inspektor zapewnił mnie, że pobory dostanę po dwóch tygodniach a dostałem je faktycznie z końcem listopada. Żyłem zatem na łasce gospodarza, w którego domu mieściła się szkoła. Żywiłem się przeważnie złapaną w Bugu rybą i mlekiem, które dawał mi na kredyt gospodarz.

W nielepszej sytuacji byli także inni koledzy po studiach uniwersyteckich, którzy uczyli na Polesiu w szkołach powszechnych jak np. mgr Ziarko, pracujący również w okolicach Włodawy.

Dziś jako dyrektor 11-letniej szkoły w Sanoku odnoszę się z największą sympatią do nauczycieli szkół stopnia podstawowego, bo między nimi na Polesiu hartowało się moje życie. Niedola zbliżyła mnie w dużym stopniu do biedoty wiejskiej i w ich walce o lepsze życie widziałem również swoją przyszłość. Wspomnienia te, to nie puste frazesy, ale ciężka dola nauczyciela okresu przedwojennego, który stał na najniższej pozycji społecznej".

O równie ciężkiej doli nauczycieli z wyższym wykształceniem opowiada także nauczyciel tej samej szkoły w Sanoku ob. Zygmunt Schmidt oraz wielu innych.

Bardzo małe nadzieje na uzyskanie pracy mieli ci spośród nauczycieli, którzy wypowiadali swe uwagi pod adresem władz szkolnych. Oto co na ten temat mówi nauczyciel Ferdynand Filipek obecnie kierownik Wydziału Oświaty Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Jarosławiu:

„W dniu 1 września 1928 r. otrzymałem posadę w 7 klasowej szkole podstawowej w Rudzie Śląskiej (pow. Świętochłowice), gdzie uczyłem do roku 1930. W czasie wyborów do Sejmu w roku 1930 — na zebraniu Ogniska ZNP w Rudzie Śląskiej z polecenia władz sanacyjnych miejscowy kierownik szkoły Kazimierz Mazak wystąpił z wnioskiem, aby każdy nauczyciel opodatkował się po 8 zł miesięcznie przez okres półroczny na rzecz zwiększenia funduszu wyborczego przeznaczonego na rzecz BBWR.

Na zebraniu wystąpiłem przeciwko wnioskowi. Wkrótce po tym „historycznym" zebraniu otrzymałem dekret zwolnienia z pracy z Inspektoratu Szkolnego w Wielkich Hajdukach. Przez okres kilku lat byłem bezrobotnym. W międzyczasie posyłałem podania o pracę do wszystkich kuratoriów w Polsce — skąd jednak otrzymywałem tylko odmowne odpowiedzi".

Jeszcze więcej niepowodzeń w życiu mieli ci nauczyciele, którzy podczas studiów uniwersyteckich wypowiadali publicznie swoje lewicowe poglądy i przekonania.

Do takich należał Stanisław Marmuźniak pochodzący z gromady Klęczany (pow. Gorlice) i Mieczysław Bomba z Budziwoja (pow. Rzeszów). Pierwszy z nich po ukończeniu studiów, od 1933 do 1939 roku nie otrzymał w ogóle zatrudnienia, drugi zaś przez aresztowania i więzienia stracił zdolność do nauczania. Poza tym wielu nauczycieli poszukiwało korepetycji, ażeby zdobyć minimalne środki do życia.

Przytaczam poniżej wypowiedź nauczycielki, która opowiada o swoich przeżyciach w Polsce sanacyjnej.

Ob. Maria Kuzio, obecnie nauczycielka Liceum Pedagogicznego w Brzozowie mówi:

„W roku 1936 po ukończeniu Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie otrzymałam tytuł magistra historii. Chociaż posiadałam wyższe wykształcenie, nie było w tym czasie żadnej nadziei na otrzymanie jakiejkolwiek pracy w szkolnictwie czy też w innych urzędach. Trzeba było szukać koniecznie jakiejkolwiek pracy, która dawałaby możność utrzymania się przy życiu.

Wreszcie zostałam zatrudniona u Szwarcenberga — dzierżawcy browaru przy klasztorze Cystersów w Szczyrzynie koło Limanowej. Przyjęto mnie tutaj do uczenia trojga dzieci. Poza tym prowadziłam księgowość w browarze. Mając te dwa poważne obowiązki do spełnienia, pracowałam od godziny 6 rano do 20 wieczór — a w lecie moja praca przeciągała się czasami nawet do godz. 23 w nocy. Muszę stwierdzić, że wynagrodzenie było bardzo nikłe.

Tysiące innych nauczycieli mimo wieloletnich starań i zabiegów, nie otrzymało podczas rządów sanacyjnych zatrudnienia w szkolnictwie. Po wielu latach beznadziejnego oczekiwania powołani oni zostali na płatne stanowiska w szkolnictwie dopiero przez rząd Polski Ludowej...

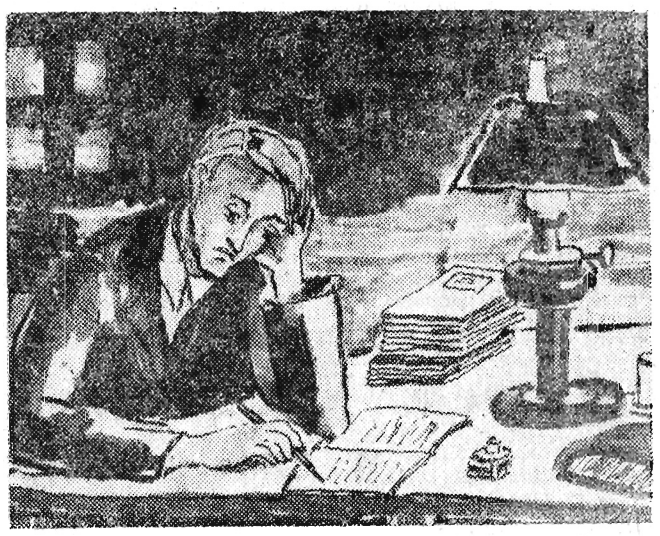

Wychowawcy i wychowankowie

Zewnętrznym wyglądem budynek wcale nie przypominał szkoły. Ot taki sobie zwykły piętrowy, długi domek świecący bielą ścian.

Przed jego frontowymi oknami na małym wzgórzu surowe mury klasztorne z wieżą, na których wiekowy czas pozostawił aż nazbyt widoczne ślady. Sąsiedztwo massywnych murów klasztornych czyni budynek szkolny jeszcze mniejszym, prawie zabawnym. Z tyłu budynku małe podwórko niewidoczne od strony ulicy, jakby wstydliwie ukryte. Z podwórka wejście do budynku szkolnego.

Trudno byłoby sobie wyobrazić taka właśnie szkołę. Przyzwyczajeni jesteśmy wyobrażać sobie inne widziane już nie jeden raz. Takie duże, nowe pachnące jeszcze świeżą farbą, nowoczesne budynki pełne słońca i radości.

W Przeworsku Szkoła Ogólnokształcąca takiego po[illegible] jeszcze nie ma i zadowala się takim jaki jest — starym, małym i ciasnym, ale drogim dla wielu osób... Przede wszystkim dla setek absolwentów, których droga życiowa szła przez ten mały budynek. W tej szkole spędzali najmilsze lata szkolne. Tu zaczynali naukę i kończyli ze świadectwem dojrzałości. Do tych młodych lat szkolnych zawsze wraca się pamięcią. Drogi jest także dla wielu nauczycieli, którzy uczą tutaj od przeszło 10 lat i wychowali już setki młodzieży.

W ubiegłym roku minęło właśnie dziesięć lat od chwili — naprawdę historycznej — rozpoczęcia nauki po kilkuletniej przerwie spowodowanej okupacją hitlerowską. A więc minęło już dziesięć lat kiedy po raz pierwszy w Polsce Ludowej dzwonek szkolny przemówił nowym dźwiękiem zrozumiałym dla dzieci robotników i chłopów. I od tej chwili głos dzwonka rozumieją niedoszli pastuchowie, słudzy obszarników...

Dzwonek przerywa dalsze rozważania — ogłasza przerwę. Waskie i ciasne korytarze do tej pory surowo milczące ożywiają się dziesiątkami mieszanych głosów. Cały budynek teraz nabiera dopiero życia i młodości. Profesorowie udają się do pokoju nauczycielskiego, niosąc ze sobą dzienniki lekcyjne. Sąsiednie drzwi pokoju nauczycielskiego prowadzą do pokoju dyrektora Eugeniusza Żółkosia. Nie było go w szkole. Służbowo wyjechał do Rzeszowa. Rozmowa z profesorami potoczyła się na tematy pracy szkolnej. Praca ta nie jest łatwa, tym bardziej, że warunki są ciężkie i trzeba dużo wysiłku włożyć aby je pokonać. Przede wszystkim brak pomieszczeń, brak odpowiedniej ilości sal lekcyjnych to sprawa najważniejsza. Rozwiązano ją tutaj tak jak pozwalały warunki — po prostu wprowadzono lekcje na dwie zmiany. Tak więc dwie klasy dzielą się jedną salą lekcyjną. Uczniowie jednej klasy korzystają z niej rano, a drugiej po południu. Bardzo to niewygodne tak dla nauczycieli jak też dla uczniów, ale nie ma innej rady. Niewygodne szczególnie dla dojeżdżających, dla tych, którym pociąg zastępuje mieszkanie w Przeworsku. Codzienna podróż, jaką odbywa prof. Nowosielska z Przemyśla, prof. C. Wetz z Łańcuta nie należy do przyjemności. Warunki mieszkaniowe większości członków grona profesorskiego, mieszkających w samym Przeworsku są również ciężkie.

Prof. Maria Papee długo mieszkała — trudno powiedzieć w mieszkaniu... Ostatnio miała wprawdzie otrzymać nowe lepsze, ale ta sprawa ciągnie się zbyt długo. Bez mieszkania jest też prof. Kitela, mieszkający kątem u kolegi. Nienajlepsze warunki mieszkaniowe mają młodzi absolwenci krakowskiej PWSP UJ. Sześcioro absolwentów przybyło w ostatnich latach do przeworskiego ogólniaka poważnie odmładzając grono profesorskie. Młodzi nauczyciele wnieśli wiele entuzjazmu do pracy pedagogicznej...

Skoro mowa o młodych, na pamięć przychodzi ciekawy a zarazem zabawny wypadek znany z opowiadania. Dyrekcja szkoły miała trochę kłopotu. Chodziło tu o dobre imię zakładu. Otóż ktoś zwrócił uwagę, że jeden z uczniów od czasu do czasu przebywa w zakładzie gastronomicznym, pije piwo, pali papierosy... Rzecz naprawdę przynosząca wstyd szkole. Zainteresowano się bliżej sprawą i cóż się okazało? Wcale nie był to uczeń, ale profesor, jeden właśnie z tych młodych... Ktoś pomylił się biorąc profesora za ucznia.

Zadźwięczał dzwonek szkolny. Opustoszały korytarze, ucichł gwar. Skończyła się przerwa i trwa następna lekcja. W sali profesorskiej pozostało kilku pedagogów. Swoje „okienka" — wolne godziny między poszczególnymi lekcjami — wykorzystują na poprawianie zeszytów, lub też przygotowują się na zebranie. A te są dość często. Zebrania ZOZ — zakładowa organizacja związkowa — i MOZ — międzyszkolna organizacja związkowa — zabierają sporo czasu. Jest jeszcze wiele innych zajęć pozalekcyjnych i pozaszkolnych. Profesorowie Paulina Barzyk i Władysław Seremet otrzymali właśnie zawiadomienie o zebraniu kolegium redakcyjnego powiatowego radiowęzła. W pracach tych chętnie biorą udział, ale często mają do wyboru: lekcja, czy też zebrania. Jedno i drugie pilne, ale jednak pilniejsze powinny być lekcje. Szkoda, że nie zawsze pamiętają o tym odpowiedzialni za pracę radiowęzła pracownicy Prezydium PRN w Przeworsku. Nauczycielstwo pracuje społecznie także w inny sposób. Prof. Zofia Borecka i Seremet wiele pracy włożyli w przygotowanie zespołu do eliminacji powiatowych, w których zespół zdobył I miejsce i weźmie udział w eliminacjach wojewódzkich.

Pod opieką prof. Barzyk trwają w świetlicy szkolnej przygotowania programu artystycznego. Uczniowie ćwiczą śpiew, recytacje, tańce przed wyjazdem do sąsiednich wiosek. Ale nie tylko wyjeżdżają, dają też występy dla miejscowego społeczeństwa.

Przede wszystkim jednak nauka... Z każdym dniem bliżej końca roku szkolnego i nie zapomina o tym grono profesorskie. Najbliżej do końca ma setka uczennic i uczniów z trzech jedenastych klas. Dla nich zbliża się ważne wydarzenie w życiu. Za kilka tygodni zasiądą do egzaminu dojrzałości i opuszczą szkołę jako ludzie dojrzali. Rozejdą się w różne strony. Większość zgłosiła chęć pójścia na różne kierunki studiów wyższych. Z setki przyszłych absolwentów 60 wybrało dalsze studia. Wśród zgłoszonych jest 15 na studia rolnicze, 14 na różne wydziały politechniki, a wielu na studia medyczne, ekonomiczne czy też humanistyczne. Nie brakło też kandydatów na oficerów Wojska Polskiego, a kandydatem na studia zagraniczne w ZSRR jest syn robotnika z Tryńczy Romek Baj.

Prof. Hrycek jest jednym z najstarszych wychowawców szkoły. Mile wspomina setki wychowanków, którzy tutaj kończyli szkołę. W ciągu 10 lat ich liczba wzrosła do 800. Suchą cyfrą trudno wyrazić głęboką treść. Pomyśleć tylko: 800 ludzi zdobyło średnie wykształcenie i to ludzie w przeważającej części spod biedniackich, wiejskich strzech powiatu przeworskiego. Trudno powiedzieć, jaki los czekałby tych ludzi w latach ustroju przedwrześniowego, ale z całą pewnością można twierdzić, że drobna cząstka tej liczby nie mogłaby szkoły średniej ukończyć, ponieważ nie stać było na to mało czy nawet średniorolnych chłopów, a już o studiach wyższych szkoda było marzyć... Dziś pójście na studia wyższe 60 zgłoszonych kandydatów jest rzeczą normalną...

Będąc w szkole trudno nie odwiedzić internatu mieszczącego się w poobszarniczych budynkach. Mieszkańcami jego są dzieci chłopskie z różnych wsi pow. przeworskiego Tryńczy, Gorzyc, Świętoniowej, Stobiernej i wielu innych. A jak się im mieszka? Mogłoby być lepiej. I tu dają się odczuć trudności, brak świetlicy, nie ma wody. To ostatnie można by łatwo usunąć i poprawić warunki.

W Przeworsku coraz głośniej mówią o budowie nowej szkoły. Powstanie piękny, duży, nowoczesny gmach szkolny, być może, że internat też. Jednak zanim to nastąpi, ojcowie miasta Przeworska zasiadający w Miejskiej Radzie Narodowej nie powinni zakładać rąk, ale przyjść z pomocą dyrekcji szkoły jak też młodzieży mieszkającej w internacie.

ST. PRAŻUCH

Pierwsze zobowiązania

na budowę Młodzieżowego Domu Kultury

Społeczeństwo naszego województwa przyjęło z uznaniem projekt budowy żywego pomnika naszego największego poety — Młodzieżowego Domu Kultury im. A. Mickiewicza w Rzeszowie. Świadczą o tym liczne zobowiązania, jakie podejmują robotnicy i młodzież.

Metalowcy WSK z Rzeszowa postanowili przepracować dodatkowo jeden dzień przeznaczając zarobek na budowę Młodzieżowego Domu Kultury. Wydział ob. Dadasiewicza przekaże na budowę ponad 15.000 zł, zaś wydział ob. Pilcha 20.000 zł.

Pracownicy WSK wezwali do podjęcia podobnego czynu metalowców wszystkich zakładów naszego województwa.

Obok metalowców jedni z pierwszych podjęli zobowiązanie pracownicy RPZB z Leżajska zobowiązując się oddać na budowę domu jednodniowy zarobek oraz wzywają do takiego samego czynu wszystkich pracowników budowlanych naszego województwa.

W Zakładzie Doskonalenia Rzemiosła w Rzeszowie wszyscy pracownicy dobrowolnie przeznaczyli na ten cel od 60 do 300 zł zależnie od pobieranych poborów miesięcznych, a kierownik warsztatu szkoleniowo-ślusarskiego tego zakładu ob. Michał Pieniądz zobowiązał się wpłacić w gotówce na budowę równowartość 1.000 cegieł.

Koło sportowe „Stal" nr 3/IX w Rzeszowie przeznaczyło na budowę 50 proc. dochodu brutto z meczu, który odbył się w Rzeszowie w dniu 27 marca br. Równocześnie koło to wezwało wszystkich sportowców naszego województwa do podejmowania podobnych zobowiązań.

Młodzież szkolna województwa rzeszowskiego też nie pozostała w tyle za dorosłymi. Szkoła Podstawowa nr 7 w Rzeszowie zobowiązała się przekazać na budowę domu do końca roku szkolnego po 5 zł a do końca roku kalendarzowego po 10 zł od każdej uczennicy. Pieniądze na ten cel szkoła zdobędzie przez organizowanie imprez, sprzedaż cegiełek, zbiórkę makulatury, flaszek itp. Szkoła ta wezwała do współzawodnictwa wszystkie szkoły naszego województwa. Na jej wezwanie odpowiedziało Liceum Ogólnokształcące w Iwoniczu Zdroju i wpłaciło na budowę po 5 zł od każdego ucznia i po 10 zł od każdego nauczyciela.

W szlachetnym współzawodnictwie nie brakło komitetów rodzicielskich szkół. Komitet rodzicielski przy Zasadniczej Szkole Zawodowej w Rzeszowie przy ul. Lwowskiej wpłacił na budowę MDK 500 zł i wezwał do podobnego czynu wszystkie komitety szkół zawodowych naszego województwa.

Przytoczone powyżej przykłady świadczą wymownie o tym, z jaką troską i miłością otacza społeczeństwo naszego województwa dzieci i młodzież i z jaką chęcią pragnie stworzyć młodemu pokoleniu jak najlepsze warunki wychowania.

Franciszek Świder

Lelewel nam bliski

Nauka była zatrudnieniem całego mojego życia, jest ona drugą moją ojczyzną: jeżelim kiedy oddał jaką usługę memu krajowi, to nie gdzie indziej tylko na polu nauki". Tak mówił o sobie znakomity historyk, żarliwy patriota i demokrata ubiegłego stulecia, Joachim Lelewel.

„Wybór Pism Politycznych" Lelewela wnosi jednak istotną korekturę do tej arcyskromnej oceny własnej działalności i własnych zasług. Odezwy, fragmenty broszur, artykuły, przemówienia zebrane w tym tomie świadczą najdobitniej o tym, że nie tylko na polu nauki Joachim Lelewel przysłużył się ojczyźnie. Że nie zamykał się w czterech ścianach swojego gabinetu. Nie szukał, jak wielu innych, schronienia od zgiełku bojów politycznych i walk powstańczych w cichej „przystani" dziejopisarstwa.

Był uczonym — bojownikiem, wrażliwym na niedolę i cierpienia swojego narodu, czynnie walczącym z despotyzmem i przemocą zaborców. Największy historyk polski, profesor uniwersytetów Wilna i Warszawy, był również wielkim obywatelem swego kraju, całym sercem oddanym sprawie wyzwolenia Polski z niewoli narodowej. Poseł do sejmu od roku 1829, po wybuchu powstania listopadowego wszedł do Rady Administracyjnej, a następnie do Tymczasowego Rządu Narodowego, stając równocześnie na czele rewolucyjnego klubu— Towarzystwa Patriotycznego.

Był Lelewel uczonym, który samą naukę historyczną włączył do „rynsztunku" swojej ideologii politycznej, używając tej nauki, jako bojowego oręża w sporach politycznych, w polemice, w zażartej walce z wrogami, szukając w historii odpowiedzi na palące, aktualne problemy współczesności.

„Wybór Pism" jest wiernym dokumentem epoki, w której każda klasa społeczna i każda partia polityczna musiała zająć określone stanowisko wobec zasadniczego, decydującego o losach i przyszłości narodu, problemu niepodległości.

Którędy droga? Na jakich siłach społecznych można i należy oprzeć walkę narodowo-wyzwoleńczą? Kto — obóz magnaterii szlacheckiej czy też postępowo-demokratyczne stronnictwa reprezentujące drobną szlachtę, mieszczan i chłopów — powinien przewodzić w tej walce?

Zagadnienia te nie miały charakteru wyłącznie teoretycznego. Od ich prawidłowego rozwiązania zależało zwycięstwo lub klęska w narodowo - wyzwoleńczej walce.

Pisma Lelewela — to akt oskarżenia przeciwko zdradzieckiej antynarodowej magnaterii, która w strachu przed utratą prawa pańszczyźnianego wyzysku, w strachu przed polskim chłopem, wołającym o ziemię i sprawiedliwość, sprzymierzała się z zaborcami lub też z monarchami Zachodniej Europy. Lelewel piętnował w swoich pismach i odezwach zaprzaństwo Czartoryskich, wykazując, że to oni — jurgieltnicy w służbie obcych potencji — winni są klęsce powstania listopadowego. Że to oni — „ohydne plemię szpiegów i zdrajców" — działają na zgubę narodu i sprawy niepodległości.

Lelewel doszedł w swoich rozważaniach do prawdy, wysnutej z całego biegu naszej historii, że arystokracja szlachecka, która doprowadziła do upadku Rzeczypospolitej nie jest i nigdy nie będzie w stanie podjąć walki o jej wskrzeszenie i rozkwit.

„Żyje polska cnota, męstwo, prawość i dzielność — pisał — w kmiecych chatach, przy warsztatach i pługu... Duma narodowa, przyszłość Polski skryła się do biedniejszej strzechy, do ludzi nieszczęśliwych. Ojczyzna wygnana zewsząd zamknęła się do ich serca... P o l s k a t y l k o p r z e z l u d p o w s t a ć m o ż e".

Myśl ta przewija się czerwoną nicią przez wszystkie przemówienia i odezwy Lelewela, przez całą jego bojową żarliwą publicystykę. Z tej zasadniczej myśli Lelewel wyciąga wszystkie polityczne konsekwencje. Jeśli lud (do którego zaliczał głównie chłopów i mieszczan) jest jedyną siłą zdolną wskrzesić i odrodzić niepodległość Polski, trzeba rozkuć kajdany, trzymające w niewoli chłopa, trzeba dać swobodę rozwojowi rodzącemu się, ale spętanemu feudalnymi więzami, mieszczaństwu. Trzeba obalić pańszczyźniane porządki, wydrzeć ster władzy z rąk pasożytniczej magnaterii i proklamować burżuazyjną, demokratyczną republikę.

Któż jest — zdaniem Lelewela — sojusznikiem Polski walczącej o niepodległość? Dwory monarsze? Reakcyjne konserwatywne siły mocarstw zachodnio - europejskich? Lelewel odpowiada na to pytanie stanowczym, gruntownie udokumentowanym: n i e! Wbrew ideologom z „Hotelu Lambert". (jak nazywano obóz Czartoryskiego w Paryżu) Lelewel udowadniał, że nie konszachty i dyplomatyczne przetargi z reakcyjnymi politykami Zachodu, nie korzenie się przed tym czy innym tronem, może Polsce przynieść wolność. Lelewel głosił — znowu tak bliską polskiej rewolucyjnej myśli — zasadę, ż e t y l k o w m a s a c h l u d o w y c h krajów zachodnio-europejskich i państw zaborczych należy szukać sprzymierzeńców dla sprawy niepodległości Polski.

Lelewel nigdy nie utożsamiał zbrodniczego caratu z ludem rosyjskim. „Braćmi jesteśmy — pisał do Rosjan w 1832 roku — bośmy narodem z innymi ludami do wolności wzdychającym". I podkreślał, że „choć pretensje królów i carów wznosiły z obu stron nieprzełamane przeszkody... uczucie braterstwa krzewiło się w sercu obu narodów". **Nie masz — wołał— przedziału między tymi Rosjanami i Polakami, którzy kochają wolność.** Tym uczuciem braterstwa wobec demokratów i rewolucjonistów Rosji dawał świadectwo w serdecznej przyjaźni, jaka go łączyła z Hercenem, Bakuninem i innymi „kochającymi wolność" Rosjanami.

Podobny, wolny od przesądów i uprzedzeń nacjonalistycznych, był stosunek Lelewela do obozu demokracji niemieckiej. W przeciwieństwie do reakcyjnych, konserwatywnych działaczy polskich, nie stawiał nigdy znaku równania między zaborcą niemieckim i całą grabieżczą klasą junkrów i bankierów a ludem niemieckim.

U Lelewela, żarliwy patriotyzm splótł się nierozerwalnie z internacjonalizmem, miłość własnej ojczyzny z uczuciem braterstwa i szacunku dla innych narodów. Nie jest też przypadkiem, że te głębokim demokratyzmem przepojone poglądy, zbliżyły go coraz bardziej do międzynarodowego ruchu robotniczego, a w szczególności do Karola Marksa. Że doprowadziły do bezpośrednich kontaktów Lelewela ze „Związkiem Komunistów", o których mówił, że **„oni jedni w Londynie sprawę polską świetnie podnieśli..."**

* * *

Spuścizna ideowa Lelewela należy do najpiękniejszych postępowych tradycji polskiej myśli politycznej. I właśnie dlatego „Pisma" Lelewela spotkają się niewątpliwie z gorącym zainteresowaniem czytelnika.

W. BOROWSKI

„Zawieja" Koguta, czyli wieś dębicka w czasie okupacji

Pamiętacie powieść Koguta „Zbuntowani"? Ciężki przednówek na wsi ropczyckiej w roku 1933, marsz chłopów na Kozodrzę? I cały szereg postaci, z których niejedna musi na długo utkwić w pamięci? I grozę budzącą scenę aresztowania przez granatową policję Michała Bogusza?

„Zbuntowani" — to pierwszy obszerny powieściowy obraz rewolucyjnych walk chłopskich w pamiętnych latach trzydziestych, latach „kryzysu" i rozpaczliwej biedy na wsi.

Powieść ta miała już dwa wydania. Postawiła ona młodego autora, pochodzącego z Klęczan w powiecie dębickim w rzędzie pisarzy o dużych możliwościach rozwojowych.

Parę miesięcy temu Kogut otrzymał I nagrodę w wysokości 6.000 zł na konkursie zorganizowanym przez „Życie Literackie" i „Wydawnictwo Literackie" w Krakowie.

Toteż z zaciekawieniem sięgamy po zapowiedziany od kilku miesięcy dalszy ciąg „Zbuntowanych". Mam na myśli sporą powieść pt. „Zawieja".

Czy ta powieść będzie wyrazem dalszego rozwoju twórczego Koguta? Czy autor pogłębi te środki pisarskie, którymi posługiwał się w poprzedniej książce? Chcielibyśmy tam znowu odnaleźć pamiętną pasję, potężny ładunek uczuciowy widoczny w „Zbuntowanych".

Ciekawi też jesteśmy po prostu, co się stało z Boguszem i jego rodziną, Jasiem Dukatem i dziesiątkiem innych postaci, epizodycznie tylko naszkicowanych w „Zbuntowanych".

Otóż „Zawieja" daje obraz ostatnich lat okupacji na wsi dębickiej w 10 lat po pamiętnym dla całego powiatu 1933 roku.

Znajdziemy Michała Bogusza, który 6 lat przesiedział w więzieniu, i wiele się tam nauczył, w roku 1939 wrócił do wsi rodzinnej postarzały i schorowany, ale wewnętrznie mocny i dojrzały człowiek KPP. Wrócił, ale już nie na własny kawałek ziemi, którym włada sołtys Gradecki, wysługujący się okupantowi.

Jest Jaś Dukat i stary Wąsik, a przede wszystkim młodzi Boguszowie. A jest i cały szereg nowych postaci. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że tych epizodycznych postaci jest tak dużo, że niesposób zapamiętać je od razu.

Jakaż jest zasadnicza problematyka powieści? Kogutowi chodziło głównie o ukazanie politycznego oblicza wsi dębickiej, klasowych rozwarstwień, ideowych dróg i... walki z okupantem hitlerowskim, prowadzonej w różnej formie.

Nad wsią wisi ciągle zmora kontyngentów, których żąda okupant. Kontyngentów nie tylko żywnościowych, ale i w ludziach, którzy mają wyjechać do Niemiec „na roboty". Ta groza ciąży oczywiście nad biedakami i ich starszymi dziećmi. Bo wiadomo, że można by się wykupić ale za co? Te znane kłopoty kontyngentowe, kombinacje sołtysa i komisji urzędującej w tych sprawach — to bardzo prawdziwy obraz życia na wsi w nie tak dalekiej przeszłości — to walka z okupantem przy użyciu takich środków jak ucieczka z transportu jadącego do Niemiec, jak ukrywanie bydła przed żandarmem hitlerowskim.

W drugiej zwłaszcza połowie powieści góruje partyzantka, walka zbrojna z okupantem. Są oddziały Gwardii, później Armii Ludowej, walczącej zaciekle z wrogiem, są Bataliony Chłopskie, częściowo będące pod wpływami AK, są wzmianki o skrajnie faszystowskich machinacjach NSZ, cały wachlarz różnych przekonań, wahań i zdrady narodowej. Są tacy, którzy jasno widzą drogę i cel wyzwolenia — Polskę Ludową; są też wrogowie wszelkiej postępowej myśli i zmian społecznych, operujących straszakiem bolszewizmu. A są i tacy, którzy, jak Kostek Bogusz, na słuszną drogę wstępują dopiero w ciągu swej służby w partyzantce. Być może, że u Kostka oficera B. Ch. przełom wewnętrzny dokonywa się ostatecznie na wieść o śmierci ojca, który zginął z rąk rodzimych faszystów, wtedy dojrzewa w nim decyzja oddania oddziału pod rozkazy Armii Ludowej.

Można mieć trochę żalu do autora, że nosicielem wstecznych idei, budzącym odrazę u czytelnika jest nauczyciel. Czyżby to był fakt typowy? Inaczej postawił sprawę w „Jaworowym domu" Wilhelm Mach, dając w tej książce piękną sylwetkę postępowej nauczycielki Gorzkówny. A to ten sam powiat dębicki i czasy te same.

Wróćmy jednak do „Zawieji". Podkreślmy barwne opisy walk partyzanckich, zasadzek leśnych. Zwróćmy uwagę na dramatyczny opis śmierci jednego z partyzantów, który do ostatniego tchnienia atakuje faszystów (str. 452). I na postać Stefki Boguszowej, dźwigającej ciało męża, zabitego przez rodzimych faszystów.

To są poważne zalety powieści, wyrażające równocześnie cechy talentu Koguta, który sam brał udział w walce partyzanckiej. Stąd tak dokładne, drobiazgowe nawet odmalowanie życia w partyzantce.

Do zalet książki należy również jej czytelność. Skoro się przedrzemy przez pierwsze rozdziały, trudno się potem od powieści oderwać. Wartki tok opowiadania, pewna sensacyjność nawet, szybko zmieniające się sytuacje, trzymają czytelnika w ustawicznym napięciu.

Jeden z czytelników doskonale znający powiat dębicki i stosunki na wsi przed rokiem 1939 i w okresie okupacji wyraził swój sąd o książce Koguta w ten sposób: „Przeczytałem „Zawieję" z dużym zainteresowaniem. Wydaje mi się, że ta powieść jest napisana żywiej, lepiej niż „Zbuntowani". Oczywiście nazwy miejscowości i nazwiska ludzi są pozmieniane i to jest zupełnie zrozumiałe, chociaż są tacy, którym trudno to wytłumaczyć. Nie to jest ważne, że np. Jaś Dukat w powieści ginie, a jego pierwowzór, noszący zresztą inne nazwisko, żyje i wiele spraw autorowi naświetlił. Faktem jest, że tak nasza wieś wyglądała w czasie okupacji, jak to Kogut opisuje w swej powieści".

Naszej literaturze o Rzeszowszczyźnie przybyła cenna pozycja. „Zawieja" znajdzie czytelników wśród młodszych i starszych. I na pewno nie tylko w powiecie dębickim.

TADEUSZ STANISZ

Dyskutujemy nad projektem Młodzieżowego Domu Kultury im. A. Mickiewicza

Projekt budowy Młodzieżowego Domu Kultury im. A. Mickiewicza w Rzeszowie wywołał wśród nauczycielstwa naszego województwa bardzo żywe zainteresowanie i ożywioną dyskusję, jednak pewne rozbieżności zdań u naszych wychowawców młodego pokolenia wywołuje sprawa zadań i celów tej pięknej placówki wychowawczej jaką będzie MDK. Aby tę sprawę wyjaśnić, dobrze będzie pokrótce omówić cele i zadania Młodzieżowego Domu Kultury im. A. Mickiewicza.

Niewątpliwie jednym z celów i zadań MDK będzie uzupełnianie wiedzy wychowanków zdobytej w szkole, utrwalanie umiejętności, sprawności i nawyków w tym zakresie, wdrażanie do samodzielnej naukowej pracy oraz pomoc szkole w realizacji wychowania socjalistycznego. Do zadań MDK będzie należało również kształtowanie socjalistycznego stosunku do pracy, umiejętności współdziałania i współżycia w zespole. Rozwijanie i zaspokajanie zainteresowań dzieci i młodzieży w dziedzinie produkcji socjalistycznej, wzbogacenie ich wiedzy w zakresie podstaw techniki oraz wyrabianie i utrwalanie umiejętności, sprawności i nawyków w posługiwaniu się podstawowymi narzędziami.

Obok kształcenia politechnicznego zadaniem tej placówki wychowawczej będzie rozbudzanie i zaspokajanie zainteresowań artystycznych, uzdolnień i talentów oraz rozwijanie indywidualnej i zespołowej samorodnej twórczości dzieci i młodzieży.

Młodzieżowy Dom Kultury będzie spełniał także wiele zadań na odcinku wychowania fizycznego młodzieży, będzie on uzupełniał pracę szkoły w tym zakresie. Ważnym również zadaniem tej placówki będzie udzielanie pomocy młodzieży we właściwym wyborze zawodu, co uczyni ją placówką szczególnie pożyteczną dla tej części młodzieży, która nie umie zdecydować się i wybrać odpowiedniego dla siebie zawodu.

Niezależnie od tych zadań Młodzieżowy Dom Kultury będzie spełniał jeszcze szereg innych, do których między innymi będą należały:

a) przygotowanie aktywu młodzieżowego do pracy harcerskiej i w ZMP, rozwijanie u niej zainteresowań i umiejętności w pracy polityczno-społecznej,

b) udzielanie systematycznej pomocy rzeczowej i metodycznej innym placówkom pracy pozaszkolnej naszego województwa, np. domom harcerza, świetlicom i innym.

S. S.

Łódzka operetka wspomina pobyt na ziemi rzeszowskiej

Z objazdowym zespołem Łódzkiej Operetki spotkałem się w Zakopanem. Nim zdołałem na Krupówkach odczytać treść teatralnego afisza, zamajaczyła przed moimi oczami charakterystyczna sylwetka Tadeusza Wołowskiego. Takie spotkanie — pachnie co najmniej całą czarną. Przy kawie daję pełną swobodę dziennikarskiej ciekawości.

„Którędy z Łodzi do Zakopanego?"

Tadeusz Wołowski, kierownik objazdowego łódzkiego Teatru Operetkowego, odpowiada „Przez Rzeszów, Mielec, Tarnów". Wbrew opinii pesymistów, skazujących z góry wszystkie muzyczne teatry objazdowe na fiasko, Łódzki Teatr Operetkowy zorganizował w ubiegłym roku dwa zespoły: jeden grający w swej siedzibie, macierzysty, a drugi — objazdowy.

Cel?

„Pokutuje wciąż jeszcze wśród tak zwanych sfer teatralnych błędna opinia jakoby zorganizowanie i prowadzenie teatru objazdowego w naszych warunkach, przy braku sal widowiskowych w mniejszych miastach i trudnościach komunikacyjnych, było zadaniem szczególnie trudnym, a zorganizowanie objazdowego teatru muzycznego — rzeczą wręcz niemożliwą. O ile ma się rozumieć ma to być teatr pełnowartościowy, a nie imitacja teatru. Postanowiliśmy naszą pracą udowodnić, że takie mniemanie jest niesłuszne, że przynosi szkodę setkom tysięcy mieszkańców mniejszych miast i osiedli robotniczych, którzy nigdy u siebie nie widzieli teatru operetkowego z prawdziwego zdarzenia, a którzy mają pełne prawo do godziwej pełnowartościowej rozrywki, do dobrej muzyki i śpiewu, podobnie jak mieszkańcy kilku największych miast z Warszawą i Łodzią na czele. Bez pomocy i subwencji państwowej zorganizowaliśmy trzydziestoosobowy zespół i przygotowaliśmy do objazdu operetkę „Bohater z Romansu" — tak jakbyśmy ją mieli grać w naszej bazie w Łodzi. No i wyruszyliśmy w objazd w grudniu ub. roku".

„Dokąd wiodła droga?"

Naszym zadaniem jest obsługa przede wszystkim regionów, do których z rzadka docierają teatry dramatyczne, a teatry muzyczne — nigdy. Szczególnie nęciło nas województwo rzeszowskie, mało nam znane. I nie zawiedliśmy się. Na około 90 przedstawień, jakie dotąd daliśmy w objeździe, piętnaście przypadło na województwo rzeszowskie. Graliśmy naszego „Bohatera z Romansu" w Rzeszowie, Przemyślu, Dębicy, Stalowej Woli, Mielcu. Cały nasz zespół uważa pobyt w woj. rzeszowskim za szczególnie udany i wzruszający. Zaskoczeni byliśmy doskonałym stanem i wyglądem sal widowiskowych. Takiej sali teatralnej, jaką ma Dom Kultury w Mielcu, mogą temu miastu pozazdrościć największe miasta wojewódzkie. Lecz jeszcze większym zaskoczeniem dla zespołu była postawa publiczności, rekrutującej się przeważnie z robotników i młodzieży. Sale były przepełnione. Widownia reagowała czujnie na błyskotliwy dowcip B. Shaw'a, na muzykę Oskara Straussa i śpiew. Przekonaliśmy się, że na znacznych obszarach naszego kraju istnieje wielki głód muzyki i tego specyficznego gatunku widowiskowego, jakim jest operetka. Jesteśmy zadowoleni z wyboru operetki „Bohater z Romansu", która na swój sposób dowcipem i humorem dyskredytuje wojnę. Przekonaliśmy się, że treść problemowa operetki, podana w formie żartobliwej, wzmaga zainteresowanie dla tego rodzaju sztuki scenicznej.

Doświadczenia zebrane w czasie występów w województwie rzeszowskim pomogą nam w dalszej naszej pracy. Proszę w imieniu całego zespołu o przekazanie naszym widzom z Rzeszowskiego najserdeczniejszych pozdrowień i zapewnienia, że jeszcze nieraz z każdym nowym przedstawieniem przyjedziemy do nich".

„Sądzę, że chyba następnym razem odwiedzicie więcej miejscowości niż ostatnio? Przecież chętnie zobaczy was Sanok, Krosno czy Jarosław".

Tadeusz Wołowski zapewnia solennie, że zespół Łódzkiej Operetki nauczy się dokładniej na przyszłość geografii województwa rzeszowskiego.

LUDOMIR RUBACH

Władysław Błachut

Miasto sławnej przeszłości

Kiedy latem 1415 roku delegacja polska na Sobór w Konstancji przedzierała się wśród porosłych lasami wzgórz z Krakowa ku południowi, nagle przed oczyma utrudzonych jeźdźców... wyłoniły się mury zjeżone basztami i przybrały kształt ptaka, który ustrzelony w locie spadł na to wzniesienie górujące ponad okolicą. Skrwawiony już nie miał sił stąd wzbić się i odlecieć. Objął skrzydłami należną przestrzeń, wbił pazury i mocno dzierży kawał umiłowanej ziemi, której oddał życie. Niechbyś go tknął, to wyrwie szpony i w ciebie wbije, dziobem do osierdzia sięgnie...

...Gród ważny, ludny, warowny ukazał się w czerwieni, wypalonej z miejscowej gliny i w bieli kamieni, wyłamanych z okolicznych gór. A był tak strzelisty, taki polotny aż robił wrażenie, że spłynął z przestworzy, ukształtowany na podobieństwo obłoków, które tutaj zostały na wieczny żywot ku obronie i tak skamieniały. Oczy jadących spoczęły na wieżach kościołów, ratusza i królewskiego zamku.

— Parva Cracovia.

... Ostre szczyty dachów czerwieniły się dachówką. Do murów podpartych szkarpami przytulały się domy pokryte zzieleniałą strzechą, to podbite gontem. Wśród nich panoszył się ratusz opasły dumą mieszkańców, przechwalający się chwałą swoich dziejów".

Taki obraz dawnego Biecza odtworzył w powieści „Papież i buntownik" znakomity pisarz Jan Wiktor, relacjonując spotkanie Władysława Jagiełły z przewodniczącym delegacji polskiej na Sobór w Konstancji, arcybiskupem Mikołajem Trąbą, w tym właśnie królewskim grodzie.

Taki obraz starego Biecza ukazują nam średniowieczne sztychy i wnikliwe poszukiwania uczonych profesorów.

Taki wreszcie obraz tego miasta z jagiellońskich czasów podsuwa nam wyobraźnia, kiedy zatrzymamy się w nim dłużej i oglądniemy z bliska zachowane tutaj pamiątki dawnej świetności: ów słynny, strzelisty ratusz i gotycką kolegiatę biecką, o których anonimowy fraszkopis mieszczański z początków 17 wieku mówił z lekką ironią:

„Wieża w przód, kościół w zad do kąta się kryje,
Trudno mają modlitwy do nieba pójść czyje,
Bo na tak długą drogę siła czasu trzeba,
Trębacza oto spytać, bo ten bliżej nieba..."

Albo ruiny okrągłych baszt i grubych murów obronnych. Romantyczne wzgórze królowej Jadwigi ze śladami starego zamczyska i przylegającego doń podgrodzia. Zachowany w całości dom rodzinny chluby tego miasta — Marcina Kromera i... fragmenty dawnych wodociągów miejskich. Pełne niezwykłych arcydzieł średniowiecznej sztuki religijnej wnętrze kościoła farnego i skromne Muzeum Regionalne, gdzie zbiera się dowody wspaniałości i rozkwitu dawnej kasztelanii bieckiej.

W odnowionym, czcigodnym domku kanonika Kromera, na pięterku o sklepionych komnatkach — jak na razie — zebrano tych pamiątek bardzo niewiele. Trochę wykopalisk z okolic góry Jadwigi, jakieś siekierki krzemienne i narzędzia z epoki brązowej, skorupy naczyń glinianych, urn rzymskich i ozdobnych kafelków, którymi średniowieczny mieszczanin biecki zwykł był zdobić kominki swego domostwa. Jedną czy dwie skrzynki cechowe, kilkanaście obrazów i rzeźb wątpliwej zresztą wartości oraz kilka przedmiotów ilustrujących postęp cywilizacyjny grodu, szczycącego się niegdyś posiadaniem kto wie czy nie pierwszych w Królestwie wodociągów i łaźni miejskiej..

Przygodni założyciele i troskliwi opiekunowie tej amatorskiej placówki, nauczyciele miejscowego liceum ogólnokształcącego, Marian Chrostowski i Julian Rowiński, mają wiele powodów do zmartwień. Dobrze zdają sobie sprawę, że jest tego o wiele za mało jak na miasto o takich tradycjach historycznych. Nie tracą jednak nadziei, że wkrótce uda im się wydatnie wzbogacić swoje zbiory. — Tu, na miejscu, w starych domach mieszczańskich niejedno by się jeszcze znalazło — dowodzi prof. Chrostowski oprowadzając mnie po ciemnawych pokoikach kromerskiej kanonii. Na przykład różnych znaków cechowych, pamiątek, strojów mieszczańskich. Musicie wiedzieć, że nasz Biecz...

...Tak, wiem, wiem. Parva Cracovia — mały Kraków...

— Wcale znów nie taki mały skoro liczył sobie prawie 20 tysięcy mieszkańców, posiadał kilkanaście bogatych cechów, wiele piwnic składowych na przednie wino węgierskie, którego jak byśmy dziś powiedzieli — dystrybucją kupiec i mieszczanin biecki szczególnie się interesował, kilka kościołów, cały system urządzeń cywilizacyjnych, takich jak szpital, wodociągi i łaźnie.

— I szkołę katów, która bynajmniej nie przynosiła mu sławy...

— Ee, z tą szkołą to na pewno wiele przesady. Nie wiadomo, jak to tam było naprawdę. Tylko mgr Ślawski mógłby na ten temat powiedzieć coś pewnego.

Jeszcze tego dnia zawieram znajomość z młodym człowiekiem kandydatem nauk historycznych, którego choroba przygnała na jakiś czas w rodzinne strony. Siedzimy w przytulnym pokoiku z oknami na Rynek, przeglądając foljały starych druków, fotografii i rękopisów. Gotycki, potężny ratusz bieli się w promieniach marcowego słońca, wokół figury św. Floriana przygodny malarz rozkłada swoje rodzajowe „landszafty". Jest dzień jarmarku. Rynek zapełnił się tłumem ludzi.

Mgr Ślawski rozsnuwa przede mną swoje teorie na temat zmiennych losów miasta, które niegdyś zaliczało się do najprzedniejszych w królestwie, a dziś spadło do rzędu osady, gdzie bez trudu naliczysz „bram cztery ułomki, klasztorów siedem i gdzieniegdzie domki".

Najwięcej interesują mnie wyniki jego poszukiwań na temat postępowych tradycji królewskiego miasta Biecza.

— Nie wiem czy wam wiadomo — opowiada — że w tych stronach ruch ariański bardzo żywo się rozwijał, co nie pozostało bez dodatniego wpływu na wzrost nastrojów buntowniczych wśród chłopów i miejscowego plebsu.

— O ile mnie pamięć nie myli, to słynny autor „Wojny Chocimskiej" Wacław Potocki, lata swej ariańskiej młodości spędził właśnie w tych stronach...

— I tu napisał kilka świetnych wierszy satyrycznych na opresję chłopską. Również Kostka Napierski miał tu swoich gorących zwolenników. Choćby tych słynnych zbójników, Czepca i Sawkę, których na Rynku nowotarskim od stryczka wybawił

— A więc jesteśmy na tropie owej legendy o szkole katowskiej w waszym mieście. Wiadomo — arianie, zbójnictwo, reformacja... trzeba było energicznie sobie poczynać, aby zdusić wszelkie odruchy buntu i niebezpieczeństwo jakichkolwiek reform społeczno-religijnych.

— Macie rację. Legendy, bo źródłowych informacji na temat takiej szkoły nigdzie nie znalazłem, co nie wyklucza jednak, że w pewnych okresach czasu kat i jego pomocnicy mieli w naszym mieście pełne ręce roboty...

— Pomówmy lepiej o czymś innym. Powiedzcie mi jak to się stało, że kwitnące wielkie miasto z upływem stuleci straciło całą swoją królewską świetność i zeszło do rzędu nic nie znaczącej mieściny.

— Długo można by mówić na ten temat. Przemiany natury gospodarczej i politycznej. Stałe ograniczanie mieszczańskiego stanu posiadania przez szlachtę i magnatów. Przesunięcia w zakresie handlu międzynarodowego. Wreszcie różne najazdy, zarazy, pożary i wojny... Ostatnia wojna światowa też nie oszczędziła naszego miasta. Hitlerowcy wywieźli sporo bezcennych pamiątek z miejscowej fary, a jedna z bomb ugodziła w dach tej szacownej budowli.

— Jakoś nie zauważyłem tych strat i zniszczeń.

— Bo szybko zostały dzięki pomocy naszych władz naprawione. Nie tak, jak po ostatnim wielkim pożarze Biecza w 1903 roku, kiedy to miejscowy poeta układał rzewny wierszyk:

Luba pieśni, dalej w świat,
Srogą klęskę Biecza głoś,
Poratuje brata brat
Tylko pięknie, czule proś

— A teraz obeszło się widać bez czułych próśb.

— Ale i tak ten, kto przeżył ostatnią wojnę nauczył się cenić pokój oraz to wszystko, co udało mu się z niej ocalić...

* * *

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy po stromych schodach odbudowującego się ratusza piąłem się na spotkanie z przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej w Bieczu. Uszy miałem jeszcze pełne słów o dawnej świetności tego miasta, a w oczach uparcie jawiły mi się dumne postacie bogatych patrycjuszów z portretów zawieszonych w Muzeum. Czułem się trochę nie swojo. O czym tu mówić z ludźmi, którzy kierują sprawami obywateli o takich tradycjach. Przecież tu ludzie żyją chyba inaczej niż gdzieindziej? Noszą większy bagaż mieszczańskich obciążeń i mają szczególny stosunek do dzisiejszych przemian Przypomniała mi się VI Księga Pana Tadeusza. Dobrzyński i Zaścianek, i fragment tej wspaniałej epopei:

„Zwykli byli Dobrzyńscy żyć o łatwym chlebie.
Teraz zmuszeni sami pracować na siebie
Jako zaciężne chłopstwo. Tylko, że siermięgi
Nie noszą, lecz kapoty białe w czarne pręgi.
A w niedzielę kontusze. Strój także szlachcianek
Najuboższych różni się od chłopskich katanek:
Zwykle chodzą w drelichach albo perkaliczkach,
Bydło pasą nie w łapciach z kory lecz w trzewiczkach
I żną zboże, a nawet przędą w rękawiczkach..."

Towarzysz Jan Szary, przewodniczący MRN, uśmiał się serdecznie kiedy wyjawiłem mu te swoje obiekcje.

— Kiedy widzicie, u nas tu teraz tacy sami ludzie jak wszędzie gdzie indziej. Pracują na roli, w przemyśle, posyłają dzieci do szkół i przedszkoli, kontraktują wiele roślin przemysłowych, w tym nawet kukurydzę i... nie wywiązują się należycie z obowiązkowych dostaw mleka — dodaje z lekkim akcentem krytyki w głosie.

Sekretarz, tow. Franciszek Głowacki od razu sięga po odpowiednią dokumentację. Tłumaczę, że o tych sprawach pomówimy innym razem. Słyszałem już zresztą, że nie ze wszystkim jest u nich tak jak z tym mlekiem.

Ale dziś, w nawiązaniu do wielkich tradycji Biecza, chciałbym pomówić o czym innym. Chciałbym coś usłyszeć o codziennych, bytowych sprawach mieszkańców tego miasta, o perspektywach rozwojowych tej osady, o realizacji programu wyborczego Frontu Narodowego...

Tow. Szary od razu zaskakuje mnie pytaniem.

— Czy wy, towarzyszu, chcecie dziś zanocować w naszym mieście?

— Oczywiście — odpowiadam. Nie zdążę już na wieczorny pociąg. Ale co to ma wspólnego z naszą rozmową?

— A ma. I to bardzo wiele. Bo nie wiem, czy się wam uda znaleźć u nas nocleg. Brak hotelu i ciasnota mieszkaniowa to jedna z naszych największych bolączek.

I znowu tow. Głowacki bez wezwania rozkłada na stole wielki afisz. Program wyborczy Frontu Narodowego powiatu gorlickiego. Czytamy wszyscy ustępy dotyczące Biecza: „Zbudować trzecie przedszkole, łaźnię miejską, hotel, rozbudować sieć gazową oraz oddać do użytku pięć kilometrów nowych ulic i chodników..."

— Wiele z tych realnych inwestycji jest już w toku wykonania — przerywa przewodniczący. Tylko z budownictwem mieszkaniowym nie możemy jakoś ruszyć z miejsca. A musicie wiedzieć, że nasz miejscowy przemysł: kopalnictwo, odlewnia żeliwa, tartak i cegielnia rozwijają się coraz bardziej. Coraz więcej ludzi dojeżdża tutaj do pracy. Gdzie zatem mają mieszkać i spędzać wolne od pracy chwile, kiedy nawet stałego kina u nas nie dało się założyć?

— Macie przecież obszerny Dom Kultury. Widziałem idąc tutaj ze stacji.

— Tylko nie wykończony. Zresztą jak tam zainstalujemy kino, to gdzie będzie wystawiał swoje sztuki tak gorąco zawsze u nas przyjmowany Teatr Ziemi Rzeszowskiej? Gdzie będziemy urządzać różne odczyty, zebrania i odprawy?

— Ten argument nie bardzo trafia mi do przekonania. Wydaje mi się, że można pogodzić jedno z drugim, a już co jak co, ale stałe kino dawno powinno działać w takim jak Biecz miasteczku...

— Są sprawy jeszcze pilniejsze — kontynuuje mój rozmówca. — Na przykład budowa liceum. Nie wiem czy słyszeliście, że nasze liceum ma 400 uczniów, mieści się w dawnej synagodze, bo innego lokalu na ten cel nie udało się znaleźć. Bez pracowni naukowych, bez podwórza, uczniowie cisną się w tym pudełku jak śledzie w beczce.

— Jedyne internaty udało się nam jakoś wykombinować w starych budynkach fundacyjnych. Dzięki rozmachowi dawnych budowniczych naszego Biecza — dodaje z uśmiechem sekretarz Głowacki.

Przewodniczący nie ma jednak zamiaru zrezygnować z budowy liceum. Będzie tę sprawę popierał jak najbardziej. Miasto oddało już plac pod budowę. Komitet rodzicielski wyjednał poparcie finansowe Ministerstwa Oświaty. Zarząd Powiatowy ZSCh obiecał pomóc. Przecież rzecz idzie o chłopskie dzieci...

Jeszcze wiele innych bolączek leży na sercu kolektywu zarządzającego miastem. Choćby budowa nowego mostu na kapryśnej rzece Ropie, która zieloną wstęgą opasuje miasto. Stary zerwała powódź i trzeba nałożyć spory kawał drogi, aby zza rzeki dostać się do miasta. Tym razem chodzi przede wszystkim o młodzież szkolną i o robotników. O tej koniecznej inwestycji mówiło się również w lokalnym programie wyborczym. Nawet naftowcy pośpieszyli miastu z pomocą, ofiarując sporo cennego materiału na ten cel. Nie darmo — widać — tow. Szary spędził swoją młodość przy poszukiwaniach ropy naftowej. Tylko WKPG z Rzeszowa jakoś nie może uporać się z planami i dokumentacją. Uważa widać, że przez wodę też można człowiekowi podać rękę...

Trzeba też pomyśleć o zabezpieczeniu rozpadającej się baszty katowskiej, osuszyć zachodzący wilgocią parter w kromerowskiej kanonii, pomyśleć o rysujących się strropach w niektórych komnatach historycznego ratusza.

Wszystko da się zrobić. Tylko, żeby zarówno WKPG, jak Urząd Konserwatorski pamiętały o tym, że niewiele mamy takich Bieczów w naszym kraju, takich miast, gdzie na każdym kroku przeszłość przemawia do nas swym pięknem, gdzie znaleźć można aż tyle tytułów do wzruszających wspomnień i słusznej dumy patriotycznej.

* * *

Miało się już ku wieczorowi, kiedy pożegnałem moich rozmówców i z ciemnej sieni starego ratusza wyszedłem na ogromny Rynek. Chmary kawek i wron napełniały wrzaskiem powietrze, zakładając swe gniazda na bezpiecznej wysokości ratuszowej wieży. Po sennym, jakby cofniętym w czasie Rynku małego miasteczka, snuli się ludzie o czymś żywo rozprawiając. Tacy sami jak gdzieindziej. Pochłonięci własnymi sprawami, nie zwracali uwagi na obcego przybysza, który przyglądał się im z bliska. W nadchodzącym zmroku Biecz rysował się przede mną w dawnej historycznej szacie. Wyobraźnia przeniosła mnie w czas jego świetności i chwały. Tylko patrzeć jak ozwie się trębacz na wieży i barwny poczet królewskiego starosty lub zbrojnego kasztelana wśród tłumu strojnych, poważnych mieszczan zacznie przedzierać się w stronę królewskiego zamku. Wtedy pobiegłem wzrokiem w dal. Błękitna mgła cienkim welonem ścieliła się w szerokiej dolinie rzeki Ropy. Charakterystyczne sylwetki strzelistych wież wiertniczych i monotonnie poruszających się kiwonów ze wszystkich stron zdały się podchodzić ku miastu. Zobaczyłem robotników z bańkami w rękach zdążających w różne strony. Z oświetlonej gospody doleciał mnie wesoły zaśpiew młodości. Tylko czerwony Dom Kultury pogrążony był w ciszy i spokoju.

Pierzchły marzenia. Biecz już nigdy nie będzie Krakowem. Ale zbyt pochopnie porównałem go w myślach z dobrzańskim zaściankiem. Posiada wszelkie dane ku temu, aby w pokojowej pracy róść i rozwijać się, jak niedalekie Jasło czy Gorlice.

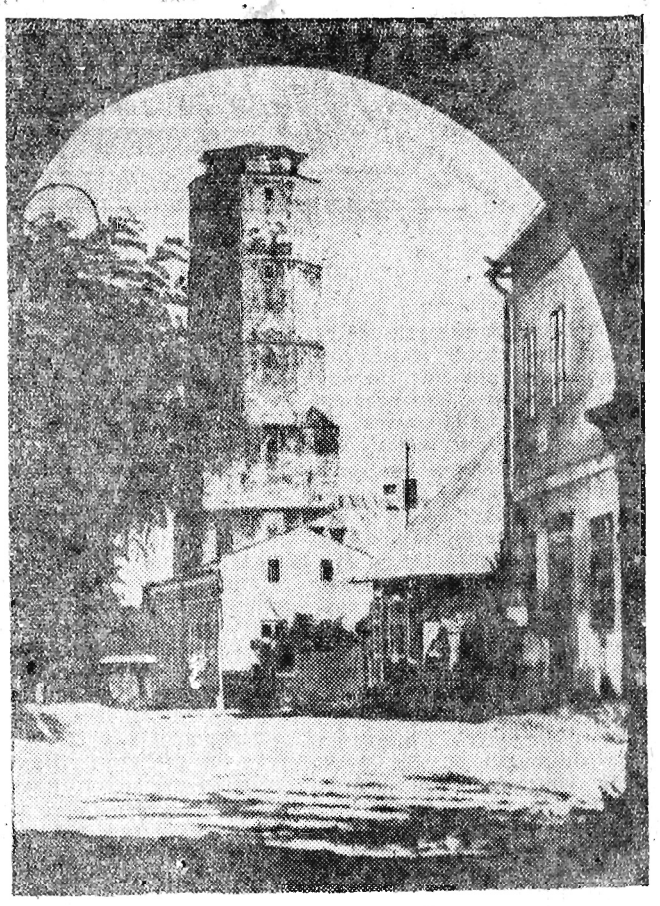

Wieża w Bieczu przed rekonstrukcją

Jerzy Hordyński

Chopin: Etiuda As-dur opus 25

Światła, niby zapachy, nad zielenią lecą,
a zieleń czy złudzenie, jak muzyka gra,
dziewczyno, czemu z taką przekorą kobiecą
wołasz kwiaty umarłe, obłoki ze szkła
Ogrody dawne wzywasz, szmer przekwitłych liści
i po cóż ustom świeżym ten za późny szept
i ten mrok, co uwiędnie za chwilę w asyście
powracających wcześnie do milczenia mew.
To śpiewa noc, to morze wczorajszego światła,
jedna, zaledwie jedna z fioletowych smug
uchwycona w pieszczocie zdradliwej zwierciadła
leży, jak ptak skrzywdzony u twych ciemnych stóp.
Białe mewy, obłoki klaszczące przed świtem.
co dawno znieruchomiał, utonął, nim zgasł,
nie dotykaj niczego, tu wszystko jest mitem
i zamiast drzewa szumi twój zgubiony czas.

Ze szczebla na szczebel...

Jedna z poważnych instytucji na szczeblu wojewódzkim zorganizowała naradę pracowników celem omówienia metod postępowania w czasie pobytu w terenie.

— Najważniejszą rzeczą — instruował kierownik instytucji — to wytworzenie atmosfery sprzyjającej rozwojowi twórczej dyskusji. Aby to osiągnąć trzeba na wstępie ustosunkować się samokrytycznie do popełnionych błędów, aby zachęcić innych do krytyki. Inspektorzy wysłuchali wskazówek i rozjechali się na powiaty. Tam w podległych jednostkach zorganizowali narady. Lecz, aby poprzeć tezę o nowym powiewie w sprawach dyskusji nie przygotowywali starym zwyczajem żelaznych mówców do zabrania głosu na ten czy inny temat.

Po wysłuchaniu referatu właśnie samokrytycznego jakież było zdziwienie przedstawiciela ze szczebla, gdy do dyskusji zgłosiło się od razu kilkunastu mówców. Lecz o dziwo, nie było wśród nich zawodowych przemawiaczy, bez których dawniej nie można było sobie wyobrazić dyskusji.

Dyskusja była żywa, interesująca, omawiająca różne istotne dla danej instytucji problemy. Nie szczędzono też słów krytyki pod adresem instancji nadrzędnej tak na szczeblu powiatowym jak i na wojewódzkim. Przedstawiciele jednostek organizacyjnych w gromadach krytykowali powiat za to, że zbyt mało dociera do nich, że często dyryguje, komenderuje dołami, nie załatwia słusznych żądań, mimo że są możliwości po temu, że często narzuca terminy i tematykę zebrań bez porozumienia się itd. Przedstawiciele z powiatu krytykowali województwo za to, że nie udziela dostatecznej pomocy, że w wielu wypadkach usiłuje zastępować szczebel powiatowy, że wymaga nadmiernej sprawozdawczości, że nie pozwala przejawiać własnej inicjatywy powiatowi, lecz narzuca z góry zadania, a nawet sposoby ich realizacji. Nierzadko mają miejsce wynoszenia się pracowników szczebla wojewódzkiego nad pracowników z powiatu itp.

W dyskusji zabrał również głos przedstawiciel szczebla, który podkreślił, że dyskusja była bardzo cenna, wniosła wiele nowych momentów. Uznał za słuszne głosy krytykujących pracowników powiatu, no i województwa też. Kierownik placówki powiatowej podsumowując dyskusję jeszcze raz dał wyraz temu, że ta narada będzie miała znaczenie przełomowe w życiu placówki, że dała wyraz dojrzałości, śmiałości w stawianiu zagadnień, zrozumienia sytuacji chwili, że trzeba zmienić styl pracy itp.

Narada zakończyła się po 14 godzinach twórczej dyskusji. Przedstawiciel odjechał do województwa, złożył krótką notatkę, że narada była na poziomie, wyczerpała zagadnienie, dosłownie ujęła problemy. Nawet były głosy krytyki szczebla wojewódzkiego.

A w powiecie? Nazajutrz zwołano pracowników. Trzeba rozpracować kalendarz przeniesienia narady powiatowej w teren. Po krótkiej dyskusji postanowiono: kierownik sektora operatywnego opracuje kalendarzyk zebrań na ogniwach gromadzkich i nada telefonogram do gromad o mającym nastąpić zebraniu. Kierownik pionu propagandowego zwoła na godzinę 13-tą 40 ludzi, zrobi z nimi odprawę i przygotowanymi przez sektor transportu samochodami wyśle ich w teren celem obsłużenia zebrań.

Rozdzwoniły się dzwonki telefoniczne, poszły w ruch instrukcje, dyrektywy, telefonogramy, zaskrzypiała stara biurokratyczna machina, zamknięto wolną drogę dla rozwoju oddolnej inicjatywy. W nawale pracy szczebel powiatowy odsunął na bok wnioski z narady. A w województwie? Wpięto skrzętnie notatkę do segregatora i polecono wydziałowi informacji ściągać telefonicznie dane do ankiety sprawozdawczej o wprowadzaniu nowego stylu pracy w terenie.

Ee.. chyba nie o taką zmianę chodzi?

Ludmir

Niektóre gospodarstwa rolne w trosce o terminowe wykonanie sprawozdań i rozliczeń zaniedbują wyniki produkcji.

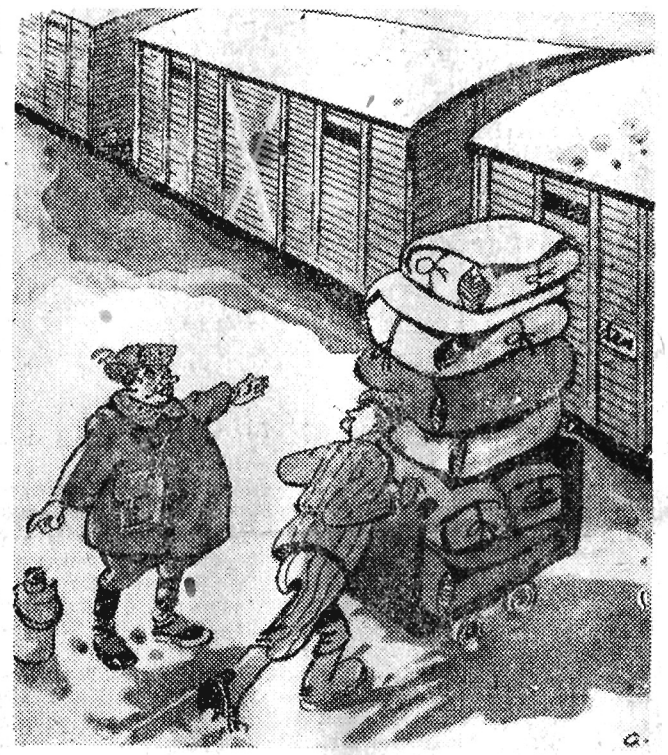

— Sprawozdania o przysporzeniu bogactw, o powiększeniu udoju załadujcie do wagonów, a „wyniki produkcji" ja w rękach doniosę. *Rys. Rotoj (wg „Krokodyla")*

We wszystkich powiatach naszego województwa, a szczególnie w pow. dębickim, sanockim, przemyskim, jarosławskim i krośnieńskim kierownictwo Powiatowych Zarządów Rolnictwa akcję przygotowań do wiosennej kampanii siewnej prowadzi według biurokratycznego patentu zza biurka. Organizując prawie codziennie nic nie dające w gruncie rzeczy narady, konferencje, odprawy — odciąga się pracowników służby rolnej od pracy w terenie.

O pracy bezdusznych biurokratów mówi wiersz pt.:

Akcja siewna biurokraty

Halo. Mówi Prezydium. Tak Powiatowa Rada;
W ważnej sprawie odbędzie się narada —
Akcja siewna... To nic, że jeszcze raz.
Proszę się stawić możliwie zaraz.

Kierownik spojrzał na biurko i zatarł ręce —
Proszę — instrukcja, wytyczne, sprawozdańko... gra.
...Jeszcze agronomów wyszkolę — no cóż czas poświęcę
Niech wiedzą wszyscy co umie Zarząd — i ja.

Zebrałem was jak wiecie w tej arcyważnej chwili,
Abyśmy kolegialnie — na forum siewów, po linii
W świetle wytycznych plenum, raz jeszcze uchwalili
W jaki sposób rolnicy siać w tym roku winni.

O wczorajszej naradzie marginesowo — zleciłem
Ziustrować teren. Są sprawozdania? Co nie było mocy?
Nie pojechali — popatrzcie. To sabotaż jak żyję —
Przecież narada się skończyła już o dwunastej w nocy...

Po naradzie w teren proszę — tylko czasu nie marnować;
A niechaj nikt tam we wsi zbyt długo nie gada,
Nie rozpraszać zagadnień — ustawić, na bazie zmobilizować
I proszę się spieszyć — bo jutro rano — narada.

I tak na naradach dzień po dzionku leci
I mija tydzień jeden, drugi, trzeci...
Przez pola zaś wiosna idzie zdziwiona,
Że jeszcze nie spotkała nigdzie agronoma.

Na zakończenie 1954 roku ukazało się uzupełnienie serii 7 znaczków X-lecia PRL. Znaczek w kolorze zielonym i stalowym o wartości nominalnej 1 zł 15 gr, przedstawia zbudowany przez Kazimierza Wielkiego zamek królewski w Lublinie, który od 1826 roku aż do wyzwolenia służył zaborcom i okupantom jako więzienie.

Dziś dzięki opiece rządu ludowego — został całkowicie odrestaurowany.

J. Krywiak

BOHATER

Mówił długo, że „wydatnie",
Że „rytmicznie" i gorąco,
Że nikogo „nie zabraknie",
Że się każdy w akcję „włączy"...
Lecz — gdy nadszedł moment czynu,
Nasz „bohater" miast być wzorem,
Najpierw wpełznął pod pierzynę,
Potem zaś — znikł, jak kamfora...
Z tego zaś nauka płynie,
I — jak wzniosły przykład — staje:
Krowa, która dużo ryczy,
Mało mleka daje...

M. R.

SZARADA KWIETNIOWA

L	I	N					
	L	I	N				
		L	I	N			
			L	I	N		
				L	I	N	
					L	I	N

					K	A	R
				K	A	R	
			K	A	R		
		K	A	R			
	K	A	R				
K	A	R					

UZUPEŁNIANKA

(nadesłał Stanisław Dąbek)

Uzupełnić rzędy poziome w obu kratkach tak, by powstały ośmioliterowe wyrazy. Dla ułatwienia podaje się, że dolny wyraz w lewej kratce jest nazwą pomorskiego miasta, zaś górny w prawej — nazwiskiem ojca Hannibala, wodza kartagińskiego.

Za rozwiązanie przynajmniej jednego z tych zadań przeznaczone są do rozlosowania trzy nagrody w postaci bonów książkowych.

Nagrody konkursu noworocznego

Stosownie do zapowiedzi ogłoszonej w nr 43 (242) otrzymują: I nagrodę — Halina Smolińska (bon książkowy wartości 100 zł), II nagrodę — Jan Kolisz (bon — 60 zł), III nagrodę — Barbara Jurkówna (bon — 30 zł). Nagrody pocieszenia w postaci bonów po 20 zł — Stefania Kamieniobrodzka, Teresa Lutowska i Marian Wolicki.

„Premię znawców" — (bon — 30 zł) uzyskał August Gliniak.

Kwiatki

Kwiatki

Kwiatki

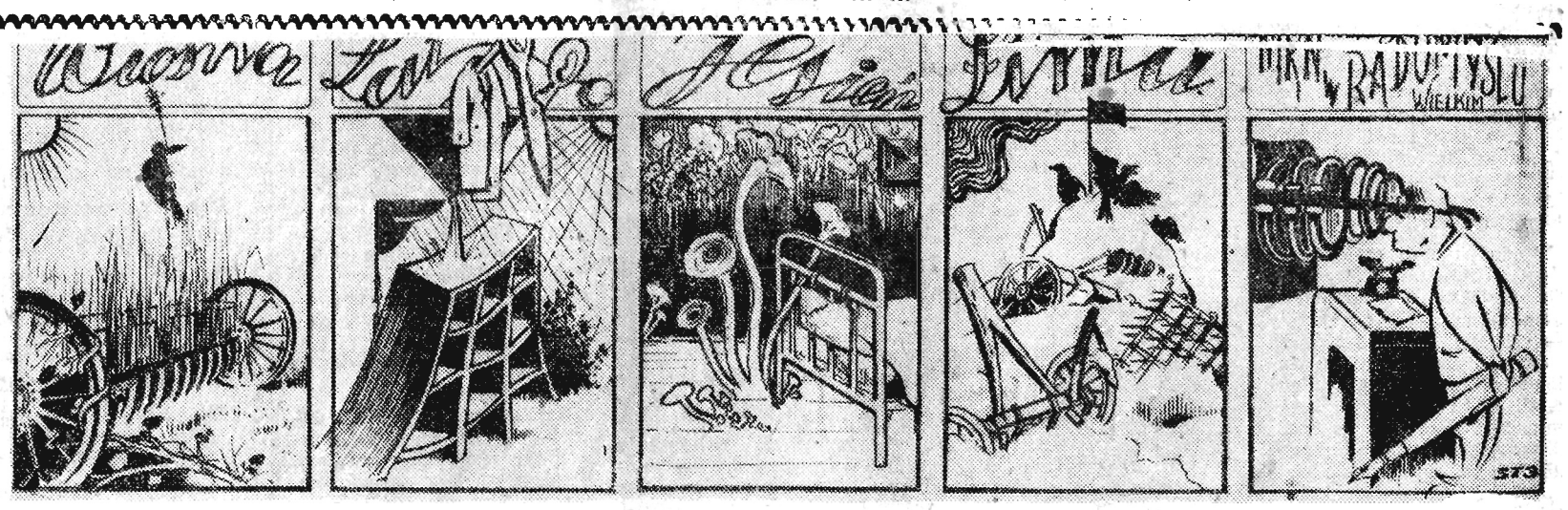

Siew rzędowy — podnosi plony. To hasło propaguje GOM w Radomyślu.

„Rozsiane" maszyny rolnicze są tego najlepszym dowodem — porastała je najpierw bujna trawa, potem — to już w zależności od pory roku. Jedno jest pewne, sianokosów nie przeprowadzano.

Punkt krawiecki — szczyt marzeń radomyślan. Na widok szafy regałowej jaką rok temu postawiono na ulicy—ludziom dech zaparło.

Wiarę w dobra sprawę i Rzem. Spółdz. Pracy „Pokój" w Mielcu — ostudziły wiosenne, letnie, jesienne deszcze — szafa rozpadła się...

Hej, na grzyby miły bracie — w Radomyślu do lasu po nie nie trzeba chodzić. Pełne kosze można nazbierać w miejscowym Ośrodku Zdrowia.

Szkoda tylko, że nie wiemy jak te „pleśniaki" należy przyrządzać.

Jeszcze zimą było jako tako. Bronny, pługi, wozy należące do GS w Radomyślu przykrył śnieg. A kto by chciał w nim szukać dowodów marnotrawstwa.

Czym teraz kierownictwo GS okryje marnotrawstwo? — Prawda to wiosna, a więc wkrótce trawa...

Tu nie pomoże Miejska Rada największy nawet teleskop — wystarcza natomiast oczy.... gospodarza.

Takie „kwiatki" rosnące na waszym podwórku można dostrzec „gołym" okiem.